

Ks. Artur Stopka: Mit neutralności

Mam wrażenie, że w wypowiedziach reprezentantów Kościoła, spychana jest na drugi plan, a nawet znika argumentacja religijna



Mam wrażenie, że w wypowiedziach reprezentantów Kościoła, spychana jest na drugi plan, a nawet znika argumentacja religijna

Należę do ludzi, którzy uważają, iż w polskich warunkach we wszystkich debatach dotyczących ważnych kwestii publicznych powinno w sposób jasny i wyraźny wybrzmiewać stanowisko Kościoła katolickiego. Kościół ma nie tylko prawo, ale też obowiązek zabierać głos w każdej z istotnych i żywotnych spraw życia indywidualnego i społecznego w naszym kraju.

Jest to oczywiste, ponieważ jak zauważył Curtis L. Hancock, profesor filozofii w Rockhurst University, religia chrześcijańska jest światopoglądem. „Formułuje ona - tak jak i sekularyzm - ostateczne sądy o rzeczywistości i osobie ludzkiej, o tym, co słuszne i dobre” - zwrócił uwagę amerykański filozof. Dodał, że skoro sekularyści mają prawo ogłaszać, że ich światopogląd można racjonalnie obronić, do podobnej deklaracji mają prawo także chrześcijanie. „W demokratycznym i pluralistycznym społeczeństwie właściwym podejściem do konkurujących ze sobą tez jest przyzwolenie, by odmienne poglądy mogły dojść do głosu, a ich słuszność była broniona” - stwierdził.

Na drugim planie

Z udziałem w debacie publicznej wiąże się problem argumentacji. Śledząc toczące się w ostatnim czasie w naszym kraju dyskusje, w tym również te określane jako światopoglądowe, mam wrażenie, że w wypowiedziach reprezentantów Kościoła, nawet w oficjalnych dokumentach, spychany jest na drugi plan, a nawet znika pewien rodzaj argumentacji. Argumentacji religijnej.

Wygląda na to, że ci, którzy w publicznych debatach w Polsce

podejmują wysiłek reprezentowania stanowiska kościelnego, w coraz większym stopniu ulegają presji jednego z umacniających się coraz bardziej mitów. Mówi on, że język debaty publicznej powinien być „światopoglądowo neutralny”, a neutralne światopoglądowo państwo nie może brać pod uwagę argumentacji religijnej.

Nie jest to zresztą problem specyficznie polski. Kard. Francis George, arcybiskup Portland i Chicago, przy okazji debaty politycznej dotyczącej opieki zdrowotnej w USA zwrócił uwagę, że kryje się za nią kulturowy problem, który narasta od dziesięcioleci. „Przez pierwsze sto pięćdziesiąt lat historii naszego kraju religia była uznawana za pozytywną wartość, przyczyniającą się do spójności społecznej i moralnej edukacji obywateli. W ciągu ostatnich kilku dekad religia zaczęła być postrzegana jako zagrożenie, które tworzy podziały społeczne i musi być kontrolowane. W takiej wizji świata Kościoły i inne związki wyznaniowe są prywatnymi klubami, które mogą motywować ludzi do podejmowania służby publicznej, ale ta działalność publiczna musi być wolna od religijnych argumentów” - stwierdził.

Przestrzegł też, że społeczeństwo, które tłumi wpływ religii, zamyka się w sobie i staje się totalitarne. Może się to zdarzyć nawet w imię obrony indywidualnych „praw człowieka”.

Lepszy, bo laicki?

Kazimierz Bem i Jarosław Makowski nieco ponad rok temu, wypowiadając się w jednej z dyżurnych od pewnego czasu kwestii dotyczących tak fundamentalnej dziedziny ludzkiego życia jak rodzina, stwierdzili autorytatywnie: „Mając też w pamięci prawdę, że nikt nie może być królem czy władcą ludzkich sumień, liberalizm uważa, że państwo nie tylko nie powinno, ale i nie może mieszać się w sprawy

religijne. Argumenty religijne nie mogą zatem mieć rangi asów w świeckiej debacie publicznej".

Co ma jedno do drugiego?

Błądność takiego „dogmatu” wykazał kilka lat wcześniej Brendan Sweetman, profesor filozofii na Rockhurst University w artykule „Chrześcijański polityk we współczesnym świecie?”. „Wyznawcy każdego światopoglądu (religijnego i sekularystycznego) żywią przekonania, których nie są w stanie udowodnić - a mimo to, na rzecz których się angażują - przez co przekonania te pomagają wpłynąć na sposób ich życia i zachowania” - zwrócił uwagę prof. Sweetman.

Wskazał, że jeśli ktoś z naciskiem twierdzi, iż chrześcijański polityk nie może publicznie odwoływać się do religijnych pojęć i przekonań, to jest to równoznaczne z powiedzeniem, że laickie stanowisko na ten temat jest lepsze - bardziej racjonalne niż pogląd religijny. „Jeśli argument, że Bóg stworzył świat i wszelkie życie, według pewnego ustalonego planu, jest eliminowany jako bezprawny, ponieważ jest 'religijny' - to jest to równoznaczne z powiedzeniem, że laicki pogląd jest poglądem poprawnym lub też jedynym poglądem, który można rozważać publicznie” - podkreślił.

Amerykański filozof stwierdził też, że ludzie religijni muszą być bardzo ostrożni, aby nie zgodzić się z laicką terminologią debaty, ponieważ często jest to tym samym, co zgoda na debatowanie, jakby się było sekularystą. „A jeśli ktoś zgadza się na dyskusję w ten sposób, nietrudno zgadnąć, w jakim kierunku potoczy się publiczna debata” - przestrzegł.

Myślę, że ostrzeżenie prof. Sweetmana powinni sobie mocno wziąć do serca ci, którzy w toczących się w naszym kraju debatach podejmują się

wypowiadania z pozycji Kościoła, a zwłaszcza w jego imieniu. Unikając argumentacji religijnej, a sięgając jedynie po świecką, sami na siebie zastawiają pułapkę przypominającą sytuację, w której znalazł się św. Paweł Apostoł w Atenach. W pewnym sensie „przechytrzył on samego siebie”, odwołując się do systemu pojęciowego Ateńczyków. Po początkowym sukcesie odkrył jego niewystarczalność i nieadekwatność do przesłania, które chciał swoim słuchaczom przekazać.

Warto pamiętać, że debacie w przestrzeni publicznej przysłuchują się ludzie wierzący, którym odwołanie się w argumentacji do religii na pewno nie zaszkodzi, lecz pomoże w wypracowaniu własnej opinii i znalezieniu odpowiednich sformułowań w ich własnych rozmowach i dyskusjach nie tylko z niewierzącymi. Adresatami argumentów w debacie są zawsze ludzie, nie struktury.

Ograniczenie wolności

Rada Społeczna przy arcybiskupie poznańskim ograniczanie w debacie publicznej możliwości argumentacji wynikającej z wartości religijnych wskazała jako jeden z przejawów ograniczania wolności religijnej.

Znany między innymi z polemiki z papieżem Benedyktem XVI niemiecki filozof, socjolog i publicysta polityczny, prof. Jürgen Habermas, nazywający siebie „metodologicznym ateistą”, niedawno zmienił poglądy dotyczące roli religii i stwierdził, że sekularyści muszą tolerować rolę ludzi religijnych w przestrzeni publicznej i vice versa. Co prawda z jego koncepcją przekładania argumentów religijnych na zdania zrozumiałe również dla ludzi niereligijnych trudno się zgodzić, warto jednak wykorzystać jego wnioski jako jedną z wielu przesłanek leczących z pełnego kompleksów unikania w publicznych, wielkiej wagi debatach argumentów religijnych i traktowania ich jako mniej

wartościowych. Ich po prostu nie może brakować tam, gdzie dyskutuje się o fundamentalnych kwestiach życia indywidualnego i społecznego w naszym kraju.

Ks. Artur Stopka

Tekst ukazał się w dzienniku Rzeczpospolita (26.07.2012 r.)

Rzeczpospolita Copyright by PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część jak i całość utworów nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (w tym także elektroniczny lub mechaniczny lub inny albo na wszelkich polach eksploatacji) włącznie z kopiowaniem, szeroko pojętą digitalizacją, fotokopiowaniem lub kopiowaniem - bez pisemnej zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Jakiegokolwiek użycie lub wykorzystanie utworów w całości lub w części bez zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. lub autorów jest zabronione pod groźbą kary i może być ścigane prawnie.